



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

20

(Ciąg dalszy).

— Byłaby poszła, ale ja sama nie chciałam, nie miałam ochoty.

— A to mi się podoba! — śmiała się — kiedyż zechcesz się bawić, jeśli nie teraz? Masz lat... zaraz...

— Dziewiętnaście, ciociu.

— A tak... za kilka dni kończysz, to sam czas na zabawy, bale, na zawracanie chłopcom głowy. Jeszcze teraz żałuję, że tak wcześnie poszłam za męża... Otóż i nasze mieszkanie.

A gdy wysiadły i szły na pierwsze piętro, mówiła:

— Piotr obiecał przyjść na kolację, ale nie bierz mu za złe, że nie był na dworcu i może nie będzie na kolacji... on taki zajęty...

— Ależ ciociu, mam przecież papę — zaśmiała się — i wiem, jak im trudno nagiąć się do form towarzyskich.

— Prawda, że i twój papa unika wieczorów w domu. Pisał mi, że karnawał w Petersburgu zapowiada się hucznie, bo to i zwycięstwo nad Japończykami bliskie i... otworzą się wakanse.

Zanim zdążyła przycisnąć guzik dzwonka elektrycznego, już otworzyły się drzwi i zgrabna, dosyć ładna pokojówka, pomogła paniom zdjąć futra.

— Zaprowadzę cię do twego pokoju — nacisnęła lewe drzwi i przedpokoju i odsuwając portyere, weszła pierwsza, za nią Olga.

W ładnym, dość wielkim pokoju, paliła się lampa na biurku filigranowym, a na owalnym stoliku przed kozetką, stał wielki bukiet z żywych kwiatów.

— Piotr jednak pamiętał o tobie, ten bukiet od niego... Jakże ci się podoba twój pokój? — obie usiadły na fotelikach.

— Bardzo ładny, ciociu — rozglądała się.

— Umyślnie dobrałam ciemno-niebieskie mebelki i portyery, bo przypuszczam, że jako blondynka, lubisz ten kolor.

— Ciocia jest bardzo dobra i uważna — spojrzała z uśmiechem przyjaźni na ciotkę.

— Zapewne zauważyłaś brak umywalki, ale nie było gdzie postawić, a u nas jest zwyczaj myć się w łazience, tam masz swoją osobną umywalkę. I to łóżko jest tylko na noc zasłane, na dzień pościel wynoszą, a łóżko tworzy kanapkę.

— Ciocia psuje mnie swoją dobrocią.

— Zastępuję ci przecie matkę.

— Trochę za młoda ciocia — uśmiechnęła się.

— Nie pochlebiaj mi — zaśmiała się zadowolona — dałam ci takie łóżko, bo zapewne będziesz chciała przyjąć kogoś u siebie, a młodzież nie zawsze lubi salon, woli zaciszny pokoik.

— Ciocia o wszystkim pamięta... nawet o możliwych gościach, a będę ich miała, bo razem ze mną przyjechała tu moja koleżanka i jeden kolega.

— A ich nazwiska?

— Helena Borwiczówna i Żalecki.

— Borwicz, to coś brzmi z litewskiego... a Żalecki... no tak, zwykłe, szlacheckie. Jacyż są oni? Dobrze wychowani?

— Znam ich głównie z wykładów i mnie są oboje przyjemni, zwłaszcza Helena. Ciocia pozwoli, że do mnie będą przychodzili.

— Ależ Oleczko, nie myślę kępować cię w niczym, jesteś panią u siebie; jedynie prosiłabym cię, abyś godzin obiadowych pilnowała, a przynajmniej uprzedzała, że nie będziesz, a śniadanie i kolację, gdy zechcesz, zjesz u siebie. Ja nie jestem zwolenniczką pilnowania i kępowania panien, my kobiety mamy te same prawa do zabawy i swobody, co mężczyźni.

— Co do mnie — zaśmiała się Olga — zachwycona jestem zasadą cioci... a cóż na nią mówi wuj Piotr?

— Najpierw nie pytam go o to, a następnie on kształcił się w Petersburgu, w Moskwie, żył z ruskimi, bo przecież wiesz, że on z przekonania katolik i Polak, ale ojciec, czy dziad był unitą i on formalnie należy do prawosławia.

— Tak... teraz sobie przypominam, coś mi mówił papa o tem.

Lokaj wniósł kuferki i inne rzeczy podróżne.

— Zawołaj Sabinę — rozkazała pani — i podawaj kolację.

Gdy młodsza przyszła, wstały panie:

— Olgo, daj jej klucze, ona ułoży ci rzeczy.

— Wolałabym ciociu w mojej obecności.

— To zbyt uczynne, bo ona zręczna... ale jeśli chcesz, to dobrze.

W czasie kolacji zjawił się pan Sudkiewicz. Był to dość wysoki, przystojny, ciemny blondyn, z dobrotliwym, słodkim wyrazem twarzy, ubrany z elegancją, trochę zbyt rzucającą się w oczy, a uściskawszy ręce pań, siadł przy stole i przyglądając ładnie utrzymane, siwiejące faworyty, rzekł z uśmiechem przyjemnym:

— Jakąż podróż mieliście, Olgo Aleksandro-wiczówno?

Olga zdziwiona spojrzała na ciotkę, która domyśliwszy się:

— Pierre, cóż to za sposób nazywania? Dlaczego nie wprost, Olgo?

— To tak z przyzwyczajenia Reno, zawsze w tem biurze — westchnął — dobrą, a raczej przyjemną miałaś podróż?

— Bardzo miłą.

— I wyobraź sobie, Pierre, że jechała do samej Warszawy trzecią klasą.

— Gotów jestem ryzykować się na trzecią klasę — uśmiechnął się — jeśli wyglądałbym po podróży tak pięknie i świeżo, jak Olga.

— Nic ci nie pomoże, ani trzecia ani czwarta klasa — śmiała się pani — to młodość!

— Prawda... Reno, miały być kotlety baranie, sos soubise, a widzę polędwicę — patrzył z namysłem na półmisek, trzymany przez lokaja.

— Maryanna nie mogła dostać.

— Co to nie można — nabierając polędwicę — zawsze można, gdy się chce.

— No, nie zawsze — mówiła, patrząc na niego — czego się tobie nie zachciewa...

— Czego? Mów!

— Chcesz, dajmy na to Petersburga, a siedzisz w Warszawie.

— Tak, prawdę powiedziałas... Ot, wasz ojciec, Olgo, szczęśliwy człowiek.

— Czy dlatego, że wdowiec? — spytała żona z ironią.

— Nie w tem rzecz, ale Petersburg, inny świat, inna zabawa, inne stosunki.

— A wiesz, Pierre, Olga nie tańczyła w tym karnawale. Słyszysz?

— Trzeba Reno, złe naprawić... u Martynowych bal za cztery dni... pójdziemy?

— U Martynowych? — skrzywiła się trochę — tam bywają różni, nie same tylko dobrane towarzystwo.

— Ale cóż znowu? Nie zniechęcaj Olgi, już ci zaręczam, że będą gwardyjce i ułani.

— Wierzę, ale i piechoty nie zabraknie — uśmiechnęła się drwiąco — bo pani Martynów nie jest wybredna.

— Trudno kochana, nie każdego stać na wystawne przyjęcie, ale oni dobrzy ludzie.

— Kto jest pan Martynów? — spytała Olga.

— Naczelnik wydziału w kancelarii gubernatora. Dobra posada i dochód jest, ale i on dobra głowa — chwalił Sudkiewicz.

— Zresztą pójdę — zdecydowała się pani — każę cokolwiek zmienić ubranie tej sukni... wiesz Pierre, tej różowej, co ją miałam u generała Szyłkina...

— Pamiętam — odpowiedział obojętnie, zając ciastka, podane na de er.

— Chyba wystarczy dla Martynów, jak myślisz, Pierre?

— Naturalnie, będziesz brylowała.

— Dam chyba inną gazę przy staniku... A ty, Olgo, masz suknię?

— Wolałabym, ciociu, nie iść.

— O, na to nie pozwolę! Chcę się pochwalić tobą! Zrobiłabyś mi wielką przykrość a chyba na to nie zasłużyłam.

Olga wspomniła, że ciotka była na dworcu, pamiętała o jej pokoju, wygodach i czuła się w obowiązku uleść jej.

— Poszłabym, ciociu, ale nie wiem, czy moja suknia będzie dobra?

— A jaką masz?

— Fularowa, *vert de mer*.

— Pyszna będzie — uśmiechnęła się — moja krawcowa odświeży ją i naradzimy się, jak ją ubrać. A więc idziemy Pierre; pamiętaj w środę, nie zabałamuc się, razem pojedziemy.

— Dobrze, moja duszko.

Jeszcze dość długo trwała rozmowa o znajomych, o tych i owych przygodach, które się świeżo przytrafiły w ich sferze.

Olga, odzwyczajona przez czas pobytu u stryjostwa od plotek, podejrzeń, złośliwych domysłów, słuchała ich na razie dość chętnie, ale wreszcie opadła ją nuda i czczość. Pomyślała też z wewnętrzne zadowoleniem, że socjaliści mają słuszność, lekceważąc i wyklinając filistrów i burżujów, bo przecież ci ludzie, spojrzała na Sudkiewicza, zajmują się myślą jedynie o swych przyjemnościach i zabawach, tracą pieniądze, wydarto